Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 32. Poznań dnia 5. Listopada. 1838.

Literatura zagraniczna.

P o e z y a.

Alexander Podoliński.

Jedno z pierwszych miejsc między żyjącymi dziś rossyjskimi poetami zajmuje Alexander Podoliński. Jest on uczniem Puszkina i zastępuje w części jego stratę swoim rodakom. Moc i słodycz wysłowienia, które zdaje się dziedziczyć po swoim mistrzu, łącznie z delikatnością czucia jest wybitniejszą tworów jego cechą, jednającą im wielką wziętość u kobiet. Do większych kompozycyi należy jego poemat »Śmierć Peri«, do którego z jednego ustępu w Lalaruk Mura wziął pomysł. Mimo wad, jakie możnaby wykryć w jego całości, odznacza się głębokością pojedyńczych obrazów. Takim jest między innemi sam początek załączony tu w wiernym przekładzie.

I.

Gniewny, mroczny i potężny,
Na skrzydłach piorunnych burz,
Jak śród niezbrodzonych mórz
Zwiru, olbrzym niebosiężny,
Uragan, nocną mgłą strojny,
Wstał — i Nil wezwał do wojny.

Na skrzydeł wrogowych świsty
Ocknął się i Nil wełnisty:
Złością przeniknion do wnętrzy,
Rwie się i pieni i piętrzy,
Sierdzistą falą wywija,
Jak żądłem deptana żmija.

Sparły się. Straszną i piękną
Ta walka. Niebo i ziemia
Naprzemian zagrzmią, to stękną;
Raz pomrok i kurz je zciemia,
Znów z przelotną błyskawicą
Strugami pereł zaświecą.

Dokoła ryk, jęk i bój.
Jak orzeł, nim na łup swój
Uderzy, w podniebiu tonie,
Tak wichr w ustawnym rozgonie
Tłucze o Nil, i w łakomy
Gardziel wtłacza żwir i gromy.

Gromadą bezdennych wód
Zakipiał nilowy bród,
I wnet krokodyle garło
Żwiry i gromy pożarło,
A nad niém rzędami skał
Za wałem toczy się wał.

Z ostatkiem siły, niezbłagan
Pół stepu wzruszył uragan,
Pomiędzy kręte wpadł jary,
Uderzył — z łożysk Nil stary
Wytrącił, i dwojgiem stron
Jak jeńca popędził w plon.

Niehamowany wraz wpada
W grody, sioła, bory, stada,
Powodzią wypartéj fali,
Zalewa niwy, bór wali,
I w głąb piasków, syt połowu,
Ze zgrozą powraca znowu.

II.

Twórczym promieniem zarumienił świty
Tajny duch świata płynąc po niebiosach,
Przejrzystém złotem odziewa błękity,
Rubin i perły sypie w rannych rosach,
Z tchu kwiatów tworzy obłok białogrzywy
W śrebrze skąpany, jak morze burzliwy.

Odziana tuczą, piekieł broń i siła,
Groza krawędzi niebios się czepiła,
Wyjrzał dzień biały, i z wschodniéj krawędzi
Strzała za strzałą jéj łono przepędzi,
Padł nocny olbrzym strącony i skłuty,
Krwią zrumieniwszy siadło swojéj buty.

I gdzie ział ogniem duch-burzy, duch-mroków
Szatańskie plemię wyzywał ku wojnie,
Promienne strugi bez cugli, bez oków,
W ogromną przestrzeń leją się spokojnie.
Wzniosło się niebo, błękit rozpromienia,
Jasno i cicho jak w ranek stworzenia.

III.

A ziemia? — Spojrzyj! to z ramion
Napaśniczego tyrana

Oblubienica wyrwana:
Przestrach i walkę ze znamion
Odgadniesz; pięknego czoła
Dotąd wygładzić nie zdoła;
Nieład w jéj jasnych warkoczach,
Otwarte usta, łzy w oczach,
A pierś strudzona, téj chwili
Na próżno westchnąć się sili.
Podobne jawiła lica
Żyzna nadnilu ziemica
Potrójną walką znękana:
Grozy, fali, uragana.
Jak gdyby rozdarte stroje
Oblekła lekkie mgły zwoje,
Lecz widno bliznę przy bliznie:
Gdzie ledwie promień dnia wśliźnie,
Tam Nil, rozlany w ruczaje,
Głębokim rowem pierś kraje.
Jéj czołem piorun z ukosa
Przemknął, a kędzior jéj włosa,
Topole, cisy i brzozy
Wyrwane przelotem grozy.
Darmo kryształy mieniące
Po szmaragdowéj wpierw łące
Z poranną sypią się rosą
Ścięła jéj kwiaty, jak kosą,
Zamieć; jéj zieleń zasuły
Kamienie, piaski i muły,
I oto z rozkosznéj błoni
Step bez barw, kwiecia i woni;
W dalekiém pastwisk zakolu
Nie ujrzysz stada na polu,
A gród i sioło po burzy
Rozwalinami się kurzy.

. . . .

O, wstąp do Gizech! z wyżyny
Piramid baczny wzrok wyślij,
Jakiż natłok uczuć, myśli
Wzbudzi widok téj krainy!
Czterdzieści wieków lała krew,
Widziała wojny pożar, siecz,
Lecz dziś nie bój, nie żar, nie miecz,
Dziś przeszedł z grozą b o ż y - g n i e w.
Ten gniew od osi do osi
Zarówno kwiatom cedr kosi,
I winowajcę wraz z domem
Roztoczy gromem.

*A. *. **

Literatura krajowa.

Kirdżali.

(Powieść bulgarska, w dwóch tomach).

W y j ą t e k p i e r w s z y.

(Ciąg dalszy.)

III.

Nie śpi Kirdżali: rozpacz i miłość palą jego duszę, jak gorączka wnętrzności człowieka tkniętego dżumą. Noc zimna, rosa bujna, a jednak krew warem kipi w żyłach młodzieńca. Na niebie cicho, i na ziemi cicho, ale w myślach Kirdżalego gwarno i huczno, jak w powietrzu podczas burzy morskiéj. Usiadł, przeciera oczy, wzrusza ramionami na zapewnienie się, że nie drzemie. Dziwne mary snują się przed nim. Stary Kordaki ze skrwawioną piersią, z dzikim wzrokiem, konwulsyjném skrzywieniem ust rzuca na niego słowami: zdrajca! — odszczepieniec! Dzieci i niewiasty bulgarskie i wołoskie, naigrawając się, palcami na niego wskazują i wrzeszczą: odrzutek bez czci i wiary! — Zamknął powiekę Kirdżali, ale mary ciągłym ruchem wiją się w około niego. Zatęsknił za jutrznią, bo wierzy, że z dniem białym mary uciekną, zaprzepadną. Westchnął żałośnie i rzucił wzrok na budynek haremowy. Tam, zda mu się, że zajrzał w oknie białą szatę i postać niewiasty: to Selima, mili się okiem wdzięczności, uśmiecha się ustami rozkoszy. Zapomniał Kirdżali o męczarniach; szczęśliwy, szeroką piersią chwyta powietrze, co od ulubionéj leci, rozwartą zrzenicą przygląda się wdziękom boskiéj dziewicy, u Boga błaga o przedłużenie nocy, bo z białym dniem trzeba będzie opuścić to miejsce szczęścia. Tak to lada wrażenie, jednéj i téjże saméj prawie chwili gnie na opak myśl, zmienia uczucie człowieka; a serce jako gąbka nasiąka jedno, oddaje drugie, i żyje tém ciągłem przeobrażaniem się uczucia.

Jeszcze Kirdżali trzymał wzrok wlepiony w postać Selimy, ułudną czy prawdziwą, jak gdyby to była tęcza jego zbawienia; kiedy głos jakiś cichy, jak z pod ziemi odezwał się: »Kirdżali, Kirdżali!« Ocknął się bulgarski młodzieniec, okręcił wzrokiem w koło siebie. Nic nie widać; ale głos znowu powtórzył: »Kirdżali, Kirdżali!« — Zerwał się, patrzy; jeszcze kilka trupów leży; potrącił nogą jednego — nie żyje, i drugi zastygł śmiercią; ale kiedy zbliżył się do trzeciego, ten wyrzekł: »Kirdżali, ocal mi życie, ja ci wdzięczność przysięgam.« — »To ty Michajlaki, czy ciebie po raz drugi zły duch ze mną styka?« — »Tą razą żyj Mahometaninem, zostań Baszą, ja cię z drogi nie sprowadzę, ocal mi tylko życie.« — »Chodź za mną« — Michajlaki podniósł się żywo, a ruch ciała pełne zdrowie objawił. — »Arnauto, tyś nieranny.« — »Ani mnie tknął żaden miecz; ale wolałem, aby mnie wlekli do Dunaju, niżeli do więzienia, a jutro na pal.« — I szli przez dziedziniec, kiedy Jańczarowie wracali po resztę trupów. Jańczarowie poznali nowego agę, i ani słowa nie rzekli, a tak bezpiecznie wyszli za bramę zamkową. W środku miasta Michajlaki zatrzymał Kirdżalego: »Tyś nas zawiódł, miałbym chwilę pomścić się; ale tyś mnie życie ocalił, jam ci zaprzysiągł wdzięczność. Michajlaki Arnauta umie docho-

wać przysięgi. Gdybyś potrzebował ramienia, na którebyś mógł więcéj rachować, jak my na twoje, powiedz słowo naszéj Arnautce Fariki, a Michajlaki natychmiast stanie spełnić twoję wolę.« — Skończył i znikł między zaułki domów. Kirdżali inną razą mieczem pokarałby obraźliwe słowa, ale teraz połknął gorzką obelgę i wrócił do zamku.

Nazajutrz dzień równo ze wschodem słońca, śmiercią pokarano buntowniczych Albańczyków, a Kirdżali z rąk samego Baszy dostał w upominku czerwony tarbusz ze złotym kutasem, biały zawoj z kaszemirskiego tyftyku, i czerwoną szubę podbitą popielicami: znaki godności i zaszczytu w oczach Muzułmanów, piętno spodlenia się w oczach Chrześcian.

Młody aga ma pod rozkazami pięć-set raźnych najezdników, posłusznych jego skinieniu. Mógłby pokusić się o skruszenie jarzma otomańskiego, o wezwanie na ucztę wolności dackich i sławiańskich plemion; ale on o tém ani myśli: on kocha Selimę, trwogą nie chciałby zmącić jéj pokoju; na grę losu stawiłby swoje życie, za jedno miłe spojrzenie ciemnego oka córki Mehemeda; dla niéj zapomniał marzeń o staréj sławiańskiéj wolności, dla niéj przygniata muzułmańską szubą wizerunek matki dziewicy; gotowby się zaprzeć wiary Chrystusa, chwalić duszą i ustami fałszywego proroka, byle Selima wyrzekła: »ja tak chcę«, bo słowo »chcę« w ustach kochanki dla zakochanego jest przykazaniem wiary, słowem bożém.

Toczy się koło roku, nowe miesiące, nowe tygodnie, nowe dni na jego obręczu błyszczą; zmianą się obraca, zmianą żyje, — a w Kirdżalego sercu i losie żadnéj zmiany. Kocha jak kochał, harcuje koniem, rzuca dzirytem, szermierzy, jak bywało dawniéj. Wnijście haremu zamknięte dla Kirdżalego, a oblicze Selimy niewidzialne. Niepodobna samym tylko wiatrem pokarmić życie; niepodobna samą tylko nadzieją nasycić serce. Złote sny, nadpowietrzne zamki, do czasu myśl wiążą w czarodziejskiéj ułudzie. Przyjdzie chwila, kiedy rozpierzchną się i znikną, jak mgła poranku, jak bęble wzruszonéj wody, jak bańki mydlane. Już Kirdżali żżymał się i niecierpliwił tym jednostajnym biegiem życia, tą ciągłą męczarnią duchowéj miłości; już kiedy niekiedy powracała do głowy dawna, znajoma myśl o wolności, a duma słodko szeptała w ucho: »bądź mężem!« Będę, rzekł Kirdżali, i począł słowem i datkiem kłonić ku sobie przychylność Albańczyków przybocznéj Mehemeda straży.

Dnia jednego nad wieczorem, przyskakał goniec tatarski na spienionym bachmacie, stanął przed zamkową bramą Izmajłowa; szkapa rozparła się w miejscu, a opar potu do koła ją omglił. Tatar wzdyma piersią, kilka razy łakomie powietrza zachwycił, zeskoczył z siodła, poprawił żółty zawój, przeciągnął się aż kości w wstawach zaklaskały, i wprost do Baszy iść żąda. Obstąpili go ciekawi, pytają skąd jedzie, po co przyjechał; on jakby niemy rzuci wzrokiem, potrząśnie głową, i nic nie odpowiada. Taka powinność muzułmańskiego gońca: rozkaz pana tajemnicą świętą; tam go złożyć, gdzie pan rozkazał. Przestępnego gońca Mahomet wykląłby z grona wiernych dzieci Islamizmu, a po śmierci nieujrzałby siódmego nieba i Hurysek; dusza by jego dostała się na wieczne posługi Iblisa. Niebawem przyszedł czarny rzezaniec, stary Hakim, skinął ręką na Tatara i poprowadził go wprost do haremu. Jak psy myśliwskie, kiedy zajrzą osiodłanego konia, surmę albo strzelbę, kupią się, skaczą, tarzają po ziemi, skomlą i poszczekują z radości, bo to dobrowieszcze znaki łowu; tak muzułmańskie żołdactwo gromadzi się, rozmawia z cicha, potakuje sobie, wypatruje bystrem okiem do koła i pogładza rękojeści attaganów i szabel, bo goniec tatarski, to wieść wojny, a przynajmniéj obłownéj wyprawy.

W haremie sam na sam Mehemed rozmawiał z Tatarem, a potém kazał przywołać Kirdżalego. Przyszedł młody aga, pokłonił się z poszanowaniem, ale hardo, po niewolniczemu nie spuścił wzroku w ziemię, ale wodził nim po twarzy Baszy.

»Kirdżali, znam twoję wierność dla mnie, nie braknie ci na męztwie, masz przed sobą otwartą drogę do sławy i znaczenia Psy bulgarskie podniosły bunt przeciw władzy Padyszacha świata. Jutro o wschodzie słońca na czele całéj straży albańskiéj wyruszysz z Izmajłowa, Tatar będzie ci przewodnikiem, wskaże, gdzie wróg. Lotem błyskawicy wpadnij na niego, a zniszcz go siłą gromu. Jak będzie potrzeba, ja podążę za tobą. Jutro o wschodzie słońca z całym orszakiem staw się na dziedzińcu zamkowym.« — Aga pokłonił się i wyszedł, a Basza kolejno kazał przywoływać innych przywódzców swego wojska, i dawał każdemu stósowne rozkazy.

Kirdżali krótko zapowiedział Albańczykom: »Jutro przed wschodem słońca konie niech będą posiodłane, broń narychtowana. Na trzy dni wziąść jadła dla siebie i koni. O wschodzie słońca wyruszymy w pochód.« — Żaden ust nie otworzył, ani przez myśl mu nie przeszło zapytać, gdzie pójdą, po co pójdą; ale wszyscy żywo i z ochotą jęli się do wypełnienia rozkazów. Powinnością żołnierza słuchać, a nie rozważać; wykonywać a nie pytać. Z takiem wojskiem można świat zawojować, jak długi, jak szeroki. Stokroć biada i przekleństwo temu wojsku, gdzie żołnierz rozważa, a przywódzca przed-

stawia. — Kirdżali wszedł do swojéj izby, opatrzył broń, przybory wojenne, słudze niewolnikowi kazał wronego konia okuć, a sam jął przechadzać się szerokim krokiem i dumać rozhukaną myślą: Basza jak psa wysyła mnie na łowy. Tatar pokaże ci zwierzynę, a ty tylko bij i morduj. Ludzie, co chcą wolności, to psy bulgarskie. Kirdżali, tyś zdrajca, odszczepieniec! godzieneś swoję rękę umoczyć we krwi bratniéj, godzieneś pod sztandarem Mahometa walczyć twoich jednowierców, prawowiernych Chrześcian. Poczekaj Baszo. Pole boju, nie twój harem! tam nie masz szatana kusiciela, pięknolicéj niewiasty, tam nie zabłyśnie ciemne oko Selimy, nie ocali ciebie muzułmaninie. Zgrzytnął zębem i dziko się uśmiechnął. — Kirdżali ma wąs pod nosem, ma attagan, ma ramię dla wolności, a serce dla wiary Kiedy trwoga to się modlą, i Selima, kiedyś rzekła: »Kirdżali, zasłaniaj mego ojca!«, a potém zapomniała, czy żyje jaki Kirdżali na świecie. — Westchnął. — I czemuż ja nie mogę wymazać jéj postaci z pamięci? — Przeszedł się kilka razy. — Wymażę. Poczekaj dumny Baszo, tyś za moją pomocą zrobił z Albańczykami sprawę i rozprawę; ja teraz za twoją pomocą zrobię sprawę i rozprawę z tobą i z twoimi Muzułmanami. — Już zabierał się wychodzić do miasta, aby porozumieć się z Michajlakim i Wołochami Izmajłowa, kiedy wszedł do izby gość nadzwyczajny, niespodziewany, stary Hakim. Kirdżali zdziwiony roztworzył usta, jak do głośnego wykrzyku, rzezaniec przytulił palec do swoich na znak milczenia, a zbliżywszy się oddechem do ucha agi, z cicha mu rzekł: »Moja pani, piękna Selima, życzy ci zwycięztwa, tęskni za twoim powrotem, przysyła ci podarek: noś pierścień na szyi, on od ciebie niebezpieczeństwo odgoni: noś chustkę na twéj piersi, abyś nie zapomniał o ręce, co ją haftowała. Jeśli ci życie miłe, jeśli chcesz światło dzienne oglądać, to milcz; inaczéj biada mnie, biada tobie.« — Złożył w ręce agi upominek obwinięty w cienką płachtę, i tak szybko wyszedł, że Kirdżali nie zdołał ust otworzyć, ręką sięgnąć, aby go zatrzymać. W osłupieniu stoi, sam niepewny, czy to był rzezaniec Hakim, czy widziadło omamienia. Rozwinął płachtę: złoty pierścień z bagdadzkim szafirem, malowany w czerkieskie amulety, na złotym łańcuchu: biała chustka z delijskiego muślinu, napstrzona złotym haftem misternéj roboty. Patrzy Kirdżali: szlaki obrzucone zwojem róż, po rogach złote słowiki, kochanki wschodniéj róży; we środku dwa serca zetknięte z sobą, pod niemi litery ormiańskie S. M. K.; u spodu haftowany napis: »Bóg stworzył miłość dla ludzi, — wielki poeta Sady powiedział. — Serce serca szuka, jak się znajdą, to się spoją siłą dyamentu. Ogień śmierci bezskutecznie na nie działa; do Edenu zaniosą miłość, bo to najpiękniejszy dar Boży.« Kirdżali namiętnie całował szyty napis, całował hafty, całował muślin; bo tam wszędzie była ręka Selimy. Zawiesił pierścień na szyi, przyłożył chustkę do serca, i nie poszedł szukać Michajlakiego. Jeszcze w jego duszy grały resztki przedgodzinnego postanowienia, pomyślił sobie: jutro zobaczę, co zrobić wypadnie. Tak to zawsze do jutra odkładamy rzecz, któréj nie chcemy, albo nie mamy dosyć odwagi wykonać Młody aga zbywszy wyrzuty sumienia odłożeniem do jutra, szczęśliwy jak słowik, kochanek róży, kiedy na jéj kwiecie usiędzie i jéj wonią oddycha, siadł myślą i uczuciem na kwiecie miłości, całą noc snił i marzył o ciemnookiéj Muzułmance, o pięknolicéj Selimie.

Od spodu ziemi słońce krwawo wzeszło i rozstrzeliło jaskrawe promienie po nad ziemią. Na obłokach jeszcze księżyc błyszczy, blednie, słania się, kryje zadarte różki, chciałby wytrzymać blask słonecznego oblicza, a nie może; wstydzi się i do ucieczki zabiera. Na dziedzińcu haremowym albańscy jezdzcy rotami uszykowani stoją, młody aga na czarnym arabczyku w dziwnych skokach przebiega szeregi. Rumak, to zadniemi kopytami ryje ziemię i w górę jak sparzony w szczupakach chlusta, to znowu w skocznym kłusie, nogami z igraszki na wiatr wyrzuca i pląsa jak dziewczę w tańcu. Stanie, grzebie kopytem, podsadza się w miejscu. Wiatr drze na drobne nitki jedwabną grzywę, ogon nastuburczył się, jak pióropusz strusi, a z oczu i nozdrzy żar tryska. Kirdżali, choć niby z niechcenia na koniu siedzi, jednak jakby przykuty w siodle, ani na cal nie odskoczy, ani się zachwieje; niby z niechcenia cuglem kieruje, ale mistrzowską ręką. Na koniu bogate przybory, na Kirdżalim bogate stroje, a w twarzy jego stokroć większe bogactwo namiętności. Albańczycy, jańczarowie, rzezańcy, wszyscy oczy wytrzeszczyli na młodego agę; a on, choć szeregi przebiega, nie patrzy na nie, ciągle strzela okiem na okna haremowego budynku. U niego wzrok sokoli: przez grubą szybę, za odwiniętą zasłoną zajrzał twarz Selimy. Szybko, nagle, rozmówili się z sobą oczyma, i jedném ognistém spójrzeniem zaprzysięgli sobie wieczną miłość. Wyszedł dumny Mehemed na ganek zamkowy, okiem doświadczenia przejrzał szereg po szeregu, jeźdzca po jeźdzcu, i kazał poruszyć się. Aga zawinął orszakiem, w kłus, w czwał, w lewo, w prawo; a pięć set jezdzców wykonało te poruszenia tak jednoczasowie, tak szybko, jak gdyby zgryść orzech. Ponury Basza uśmiechnął się nawet tą razą i zawołał: »Kirdżali, pierwsze to twoje pole w szrankach sławy, pamiętaj, abyś nie splamił sławy moich na-

jezdników!« — Aga podniósł miecz do góry, na znak, że zwycięży, albo zginie, schylił czoło ku grzywie, czy przed Baszą, czy przed dziewicą patrzącą z haremowego okna — niewiadomo, zawrócił konia na zadzie w miejscu, jak na talerzu, wjechał na czoło orszaku, jeszcze raz rzucił wzrokiem w tył, i wyruszyli Albańczycy za bramę, a aga na ich czele.

Cóż to za rozkosz w Kirdżalego sercu! Wie, że jest kochanym, a nad to szczęście nie masz większego szczęścia na ziemi. Minęli Izmajłow. Tatar przodem bieży, ku Dunajowi drogę znaczy. Kirdżalego dusza kipi warem niecierpliwości; jednym migiem chciałby dopaść, zwyciężyć wroga, wrócić i złożyć znaki zwycięztwa pod nogi Selimy.

Wiatr wieje od północy ku południowi; ciemnosiny Dunaj pomarszczył swoje wody gęstemi fałdami, zabielił opoczyste brzegi pianą gniewu. Szerokiem korytem na statkach płynie albańska jazda, płynie po krew chrześciańską, po sławiańską wolność; a sławiańscy i daccy wioślarze statkami kierują, i stary Dunaj na swym grzbiecie je niesie — i nie zatopi! Widać, że w księdze przeznaczenia napisano: »Nie wybiła jeszcze godzina zwycięztwa dla wolności i świętéj wiary Chrystusa.«

Statki przyparły do brzegu, jezdzcy na ląd wysko czyli, uszykowali się w szeregi, i pobiegli brzegiem Dunaju, sylistryjskim szlakiem. Przed sobą miotą kurzawę i za nimi pociągnął się długi tuman kurzu. Trzeciego dnia usłyszeli strzały armatnie, i niebawem ujrzeli kłęby dymu i gorejący grod Sylistryi. Zamekj eszcze stoi, a do niego szturmują zajadłe kupy Bulgarczyków, a w nim się bronią Muzułmanie. Kirdżali przypomniał miejsce swego urodzenia, tęskno mu na sercu. Tatar przewodnik wskazał mu ręką: »Ago, to wróg naciera, tam bronią się nasi.« — Kirdżali zadrżał, zatrzymał się, już miał na języku słowa: »za wolność bulgarską! za wiarę chrześciańską!« kiedy koń poruszył się pod nim, haft chustki załoskotał go po lewym boku, złoty łańcuch pocisnął w szyję, a postać Selimy w całym blasku piękności, wymalowała się przed oczyma jego duszy. Podniósł szablę nad głowę, krzyknął: »Ałłach! Ałłach! Za mną! i z kopyta kopnął koniem na Bulgarczyków. Albańscy jezdzcy, jak trzoda djabłów zawrzeszczeli: Ałłach! Ałłach! mieczami błysnęli — cisną boki końskie i w przegony mkną czwałem za agą. Ciemno, mglisto od kurzu, szumno, huczno od tętnienia ziemi, od poświstu powietrza. Bulgarczycy z tyłu z nienacka napadnięci, zmięszali się i poczęli uciekać; oswobodzona załoga wypadła z zamku i połączyła się z Albańczykami Kirdżalego: gonitwa i rzeź trwała aż do ciemnéj nocy. Każdy Albańczyk i za pas i do troków siodła, dziesiątkami nawiązał głów bulgarskich. Basza Sylistryi sowicie okupił pozrębywane głowy: Kirdżalemu dał w podarku dwa ogiery arabskie z sutemi rzędami, dwa tysiące złotych l e w ó w, łańcuch z drogich kamieni, i szubę z zielonego axamitu podszytą sobolami.

Dziesięć dni palono i rabowano bulgarskie wioski, a Kirdżali wszędzie i zawsze przewodził słowem i czynem. Skończona wyprawa, sto wiosek w perzynę obrócono, dziesięć worów uszu bulgarskich posłano do Istambułu w darze Sułtanowi. Basza Izmaiłowa dostał za przysłaną pomoc dwadzieścia wozów bogatych łupów i dwa tysiące sztuk rozmaitego bydła. Albańczykowie obłowili się w złoto i grabieże; a Kirdżali oprócz darów, okrył się szeroką sławą między Muzułmanami, a u Chrześcian dokupił sobie nową zniewagę i ohydę do dawnych.

Kiedy wracał, w samym Izmajłowie zdybał go jakiś człowiek w łachmanach i zatrzymał, a odwiodłszy na stronę rzekł: »Stary Kordaki prawdę przepowiedział; dwa razy stałeś się zdrajcą, odszczepieńcem, za trzecim będziesz zbójcą. Zobaczemy się — rachuj na mnie« — i poszedł w swoję stronę. Kirdżali kiwnął głową, ruszył ramionami: »czego ten przeklęty Michajlaki chce ode mnie?« — Wjechał do zamku. Mehemed jak syna go przyjął, do uczty z sobą zasadził, kazał mu podać swój cybuch, i obok siebie pozwolił tytuń palić. Wielka to łaska dumnego Baszy, wielki zaszczyt dla dumnego agi. Inny Turczyn dałby za to swoje życie; ale Kirdżali? .... co mu tam po tém — on nie widział Selimy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pani Crescini.

(Ułamek.)

Do K. M.

Niespodzianie zasmuciła nas obu wieść o śmierci pani Crescini; jakiż to smutny los spotkał, piękną tę Wenecyankę; w dalekim kraju, pożegnała się z życiem, co tak jéj się uśmiechało. Ileż to nadziei zawiedzionych, ileż to nieostygłej namiętności sztuk pięknych, ileż to dźwięków cudownych skonało z nią razem!

Mile spłynęło to życie w zbyt krótkim objęte okresie, dziś po nim zostały skargi miłośników sztuki, co spostrzegli, że już jéj nie ma — i szczery żal kilku jéj przyjaciół. Nie należę, ani do pierwszych, ani do drugich, nie dosyć ją znałem, ani dosyć ocenić mogłem.*) Nigdy nawet nie słyszał jéj w koncercie publicznym: po kilkakroć w małém towarzystwie cieszyłem się pełnością dźwięku i potęgą jéj głosu. Lubiłem niemym być

*) ?. *Red.*

świadkiem jéj żywéj rozmowy włoskiéj, i patrzeć na te wyrazy gestów nie mniéj wymowne — i na tę nieustanną grę fizyognomii i bystrość wzroku szczególną, dowody gwałtownych uczuć i namiętności. Pochodzenie ślicznéj Wenecyanki z polskiego rodu, ujmowało nas dla niéj, ubiegaliśmy się o poznanie jéj, a zbliżywszy się do niéj, szczyciliśmy się z takiéj współrodaczki naszéj: P. Crescini była siostrzenicą s. p. Majora Turskiego, nie dawno zmarłego w Poznaniu, szczyciła się z swego pochodzenia z polskiego rodu. Majętni rodzice rozwinęli w niéj byli zawczasu wrodzony jéj talent do muzyki, i wykształcili ów głos tak cudowny. Po ich to śmierci odziedziczywszy szacowny zbiór obrazów, przedsięwzięła go spieniężyć częściowo w chęci ustalenia swego losu; w tém to celu podjęła ową podróż. Zbierała ona w najwyższych paryzkich, londyńskich towarzystwach świetne oklaski. Zapragnęła atoli w podroży do Berlina odwiedzić Poznań — aby doznać milszego uczucia nad uciechę światowego blasku, aby się w sercu uradować nad wujem, pomiędzy nami osiadłym; opuszczonego starca przytulić do łona, ostatniego potomka swojéj rodziny. — W Poznaniu ją ujrzałem. — Pamiętam jeszcze ten wieczór, gdym ją w małém towarzystwie raz pierwszy usłyszał; ileż to uczuć nie krążyło we mnie; rozmawiając długo z przyjemną i dowcipną Włoszką, nieświadomy jéj talentu, skłoniwszy ją, aby siadła do fortepianu, tak niespodzianiem usłyszał wielką artystkę, wyższą nad wszelkie moje pochwały. Ileż to pełnych słodkich dźwięków wylewało się z jéj duszy, jakiż tłum gwałtownych namiętności miotał jéj piersiami, jakiż to urok w zachwyconém oku, i w pięknych licach niebianki, zajaśniał tak nagle, w sobie myśleć i czuć zaprzestając, goniłeś myślą jéj dźwięki — zlewałeś się z jéj czuciem, jednałeś się z tym bolesnym jękiem i owym donośniejszem wyzwaniem losów przeciwnych, z świętą przysięgą niezłomnéj miłości i krzykiem radości i z echem ponuréj rozpaczy. Lubowałeś w tém, namiętnie i tak mile dźwięcznem szczeblowaniu po wszystkich uczuciach, po wszystkich cierpieniach, rozkoszach, pociechach i zachwyceniach, i ścigałeś duszą twą za jéj duszą; lecz wreście sił nie dostawało w téj duchowéj słuchacza pogoni, gdy ona coraz śmielszą, coraz okazalszą mocą bujne państwo dźwięków owładła, a jakżeż szczęśliwą była, że mogła każdą namiętność, skoro w piersiach lub myśli zawrzała, zaraz w idealną przekształcać szatę, i w dźwięcznem następstwie tonów wyśpiewywać.

Odziedziczywszy namiętną i tęskną duszę po matce naszéj spółrodaczce; matczynem wykarmiona mlekiem, gdy ją wrzące passye włoskiego południa ujęły, zdołała ona rodzinną mocą charakteru im się oprzeć, a gwałtowne uczucie zwyciężyć i przemienić je w źródło niewyczerpanych natchnień najczulszéj i najgłębszéj sztuki muzycznéj. Nie trzeba było jéj drogi życia uściełać kwiatami, gdyż takie dusze nie w kwiatach lubują; ani jéj szukać natchnienia w dziwnie pięknych krajobrazach, ni wśród odmętu najrozmaitszych sytuacyi wielkiego świata; czuła albowiem w sobie saméj nieprzebraną moc świeżych dźwięków i nowych akordów. Ciągła to walka wewnętrzna namiętnéj duszy południa, stokroć więcéj kunsztmistrzów stwarzała, niż ich zdołały wymarzyć zimne fantazye uczonych ludów północy; gdyż nie tyle górnobłyszczące światło ogrzewa, ile płomień spodem ukryty, — a jedno przyspieszenie namiętnego krwi obiegu więcéj ci uczuć, myśli, natchnień, czynów i poświęceń w krótkiéj chwili nasunie, niż ich wyślęczy długa rozwaga i zimne wspomnienia nauki. Czemużby się troszczył prawdziwy i namiętny artysta, czyż mu świat ten nie za dość szeroki? cieszy się jego harmonijną pięknością, poświęca ją rymem i głosem poety, dłutem snycerza; ani pyta, zkąd piękność wywodzić, ani szuka źródła zachwycenia, którym pała; on tchnie poezyą, pała uczuciem, wylewa je z siebie i opowiada całą treść swojéj duszy przed równie namiętnymi zwolennikami sztuki i przed tymi, co kocha, lub których sympatyą odgadnie.

Takim to kunsztmistrzem była p. Crescini; wszystko było w niéj naturalne, prawdziwe; sztukę i zręczność za młodu nabytą tak silnie umiała przygasić jedyną mocą swego natchnienia, że zdało się zrazu, że sztuki nie znała: głos jéj tak wolnie bujał po owym muzycznym okresie, jakoby żaden karb go nie hamował w wylewie i w polocie.

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd pism.

Rozbiór pierwszego tomu Poezyi J. J. Kraszewskiego, z III. tomu Literatury i Krytyki Mich. Grabowskiego wyjęty.

W Nrze 66. Tygodnika Petersburskiego wspomniano o mnie, jako o jednym z tych, którzy sprawiedliwie cenią P. Kraszewskiego. Bardzo rad jestem, że mi to przyznają. Zdaje mi się, że niepodobna nikomu zaprzeczać tak jawnych zdolności, a co do mnie mogę wyznać otwarcie, że widzę je z prawdziwą rozkoszą, raduje mnie pojawienie w naszéj literaturze tak obiecującego pisarza, nie mogę nawet pojąć, żeby się dała pogodzić życzliwość dla narodowego piśmiennictwa i języka, z obojętnością ku jednemu z najszczęśliwszych dla téj literatury i tego języka wypadków; a zrażać młodego pisarza niesprawiedliwemi napaściami, odstręczać od zawodu, w którym może być dla nas najużyteczniejszym, zda mi się rzetelném wykroczeniem przeciwko ogólnemu dobru. Warto także pamiętać, że już niejednę stratę przypisać możemy podobnemu postępowaniu.

Wszystkie nadzieje, jakie godzi się mieć o Panu Kraszewskim, utwierdza wiadomość o wieku tego pisarza. On

się urodził 26. Lipca 1812. roku. Nie tylko winszować mu można niepospolitego zapasu zebranych wiadomości, ale, co rzadsza, wytrawnego sądu o wielu pierwszéj wagi przedmiotach, który zwyczajnie późniéj się tylko nabywa. Chociaż da się to z wielu względów wymówić, pewna jednakże, że potoczna literatura polska szła ospale; (mieliśmy albo ludzi gruntownie uczonych, którzy pracując w ciszy i dostatku czasu, stali opodal od popularnego bieżącego piśmiennictwa, albo przygodnich belletrystów, w większéj połowie naśladawców i wielbicieli modnych pisarzy cudzoziemskich, niżeli przedstawicieli swojskiéj umysłowości; jedni jak drudzy odzywali się do swojéj publiczności zrzadka, przerywanie, nieotwarcie, uroczyście, rzec więc można że nie było żadnego ruchu, ani śladów obecnego życia w takiéj literaturze. Stało się dopiero inaczéj, (przynajmniéj w naszych prowincjach) od czasu wystąpienia Pana Krasz. w Tygodniku Petersburskim. Przedmioty uczone, historyczne, erudycyjne, zaczął on traktować poufale, jako rzeczy, których wiadomość dochodzić powinna całéj publiczności, bo one być mają treścią rzeczywistéj narodowéj literatury, — wyjawiał zdanie o kwestjach literackich i moralnych, do jakiego go położenie tych kwestyj w obecnéj chwili u nas i w Europie wiodło, słowem, wystąpił w naszéj literaturze jak człowiek młody, uczony, śmiały, czynny, pracowity i zajmując się z upodobaniem literackiemi rzeczami, nas do zainteresowania się niemi zachęcił. Raz pierwszy ujrzeliśmy w nim pomiędzy nami czynnego i pełnego talentu l i t e r a t a.

Zawód, który sobie obrał Pan Kraszewski, był wyraźny. Z jednéj strony starał się on nas odwieść od ślepego zamiłowania wyobrażeń francuzkich i błędnéj, choć dość powszechnéj wiary, że tam to zeszedł jakiś zenith cywilizacyi, objawiający się w doskonałych formach społecznych, moral nych i literackich, — z drugiéj, zwrócić nas do uprawiania własnéj niwy umysłowéj i gruntowniejszego zapoznania się z domowemi rzeczami. Pod samym względem literackim gwałtowną było potrzebą odezwać się w tym sposobie; dochodziliśmy bowiem do tego, że owe wyzwolenie od klassycznego naśladownictwa francuzkiego, z któregośmy tak tryumfowali, miało się okazać czczą marą, bo przez peryod płytkiego romantyzmu powracaliśmy do naśladowania znowu francuzczyzny; — ale wtedy kiedy nasze wzory jeszcze mniéj godnemi naśladowania się stały a — żalby był wielki, żeby nasza romantyczność, nasza narodowa literatura, stały się poprostu kopią szkoły neofrancuzkiéj — uchować nas od tego nic innego nie mogło, tylko przekonanie, że zawód rzetelny narodowéj literatury raczej był w karczowaniu własnego pola, niżeli w kłosowaniu po cudzych, że należało przecie zapoznać się ze źródłami téj literatury; z jéj różnoczasowemi płodami, które są mnogie, a któremi rozliczne koleje naszego umysłowego ukształcenia nie pozwoliły nam dotąd zająć się tak szczerze i gorliwie, jakby na to zasługiwały, a coby nam dopiero na dobre wyjść mogło. W tym celu zdaje mi się były pisane piękne i gruntowne rozprawy z powodu historyi Litwy i Wilna, z powodu nowych wydań Niesieckiego, historyi literatury Bentkowskiego, z powodu wszelkich podobnych prac, pojawiających się w naszéj literaturze, a pojawiających, z przyjemnością mówimy, częściéj w obecnéj chwili, jak kiedykolwiek.

Oprócz tego, że nazwę, podawania ręki wszelkim co najużyteczniejszym literackim przedsięwzięciom, Pan Krasz. wziął na część swoję wielką pracę napisania Historyi Wilna, a téj tom pierwszy, z wielką gruntownością i wybornem piórem napisany, jest przed oczyma publiczności; w celu upowszechnienia ciekawych pod względem historycznym lub literackim dzieł dawniejszych, zamierza wydawanie A r c h e o t e k i, czego wszyscy, nie próżni uczciwéj gorliwości o piśmiennictwo krajowe, z największém upragnieniem oczekują, i nie można wątpić, że gdyby P. Kr. rozpoczął to wydanie choć jedném dziełem, choć kilku arkuszami jednego dzieła, przedsięwzięcie to mogłoby się utrzymać, bez kołatania do drzwi naszych drzemiących i własnéj korzyści niepojmujących bibliopolów. Zresztą jakiekolwiek jest zdanie nasze o powieściach Pana Kraszewskiego (które gdzie indziej wypowiemy), można powiedzieć, że i w tym względzie od niego się najobficiéj zasiła czytająca nasza publiczność, a te powieści, z których jedne są płodem bardzo już dawnym tego tak młodego jeszcze pisarza, drugie choć późniejsze ale nie stoją na punkcie wytrawności umysłowéj, widnéj dziś z krytycznego sądu autora, są wszelako wszystkie przejawą niepospolitego daru i dowcipu.

Tak więc czynnym pisarzem jest w obecnéj chwili Pan Kraszewski w literaturze polskiéj. W początku niniejszego roku pojawiły się także dwa tomy jego poezyj. O tych to właśnie mamy zamiar pomówić. Ten szacunek, który mamy dla prac P. Kr. i któryśmy tylko co wyznali, nie będzie nam na przeszkodzie do wyrzeczenia o tych poezyach jak najotwartszego zdania. Owszem, on to nas zachęca do tego, bo naprzód pewni jesteśmy, że pisarz tak znamienity ciekawszy jest bezstronnego zdania o swoich płodach, jak czczej ich pochwały, powtóre, że publiczność gotowa mieszać pisarza i poetę i albo nie śmieć oceniać według słuszności poetycznych płodów rozumnego i świetnych zdolności pisarza, albo, uprzedziwszy się przeciw poecie, posuwać to i do prac jego innego rodzaju. Dwie to są jednak odrębne rzeczy.

Czytając dawniej poezye Pana Kraszewskiego w pismach czasowych, w noworocznikach, myśleliśmy zawsze (cośmy nawet gdzieindziej powiedzieli) że powinienby on się spostrzedź, że należy do licznego w naszych czasach pokolenia poetów prozą. Poniekąd i teraz niezmieniliśmy tego przekonania, bo wyznajemy, że niektóre jego artykuły ulotne, niektóre części jego powieści, cała jego historya Wilna, sprawiają na nas żywsze poetyczne wrażenie, jak obydwa tomy poezyi. Co bądź, nie ma się wcale rozumieć, ażeby i te tomy poezyi nie miały w sobie wiele wartego uwagi; w żadnym zawodzie niepodobna P. K. okazać się pospolitym i bez widocznego talentu pisarzem. . . . .

Oprócz dramatu H a l s z k a, który zajmuje cały tom drugi, z pierwszego jeszcze trzeba odłączyć B a r b a r ę, P a o l o, rodzaj dramatów lirycznych i G e r h a r d R u d a powiastkę historyczną, reszta dopiero, z małemi wyjątkami, może się uważać za poezye egotyczne, liryki i elegie, i nad temi się naprzód zastanowimy.

Z tych jednakże poezyj, które egotycznemi nazwałem, nie wszystkie są głosem osobistych uczuć poety; owszem znajduje się tu kilka urywków, któreby raczej poematami lirycznemi nazwać można, a które ubocznie tylko wyjawiają pryzmat wejrzenia autora na naturę i przedmioty. Takiemi poematami są: Ś l e p a B a b k a, gdzie kilka obrazów (głupca, modnisia, mężczyzny żonatego, dziewczyny, nakoniec poety) jest bardzo zgrabnie skreślonych; fantazya K o b i e t y zawierająca szereg portretów niewiasty, królowéj, nędzarki, młodéj niewinnéj piękności, zalotnicy, żony, niewolnicy na wschodzie, namiętnéj hiszpanki, kobiety tłumiącéj w sercu nieszczęśliwą miłość, używającéj nietroskliwie wiosny młodości. Ta fantazya jest to romantyczna waryjacya na temat k o b i e t a, który niegdyś klassycznie obrabiali Legouvé i nasz Bruno Hrabia Kiciński; dzieło romantyczne ma wielką przed tamtemi zaletę, bo się złożyło z krótkich i dobitnych obrazów. Podobnież z szeregu obrazów składa się poemat B u r z a, gdzie widzimy, jak groźna nawalnica czerniąc po niebie, zastaje na ziemi różne widoki życia i ludzi. Dzwonią przeciwko niéj i krzyżem żegnają ze dworu wdowy, w klasztorze mnichy idą modlić się do chóru o odwrócenie posłannicy gniewu Pańskiego, nie lękają się jéj na łonie rozpaczy i nędzy, nie widzą jéj u bogaczy pośród światła, dźwięku muzyki i uczty; kończy ten szereg widok śród burzliwéj nocy szubienicy i wisielca, których pilnuje rozpaczająca matka ostatniego; rozmowa szubienicy, matki, piorunu, są tu skreślone w guście dziwactw Jana Pawła Richtera. Wszystkie te trzy niewielkie poemata (czwarty w podobnym rodzaju jest, W i e ń c e,) nie są zaiste bez wewnętrznéj wartości; rozliczność tych obrazów, z których każdy ma silnie wypiętnowany charakter, a ciąg ich i kontrasty, stanowią pewną całość, nad którą panuje myśl poety, który ze czcości wywołał tę fantazmagoryą — jest zaiste płodem poetyckiego ducha. Uznając to jednak, widząc dzielność poetycką

w pojęciu przedmiotu, zostaję zawsze przy mniemaniu, że P. Kraszewski jest tylko poetą prozy. Zupełnie podobnym do trzech wymienionych kawałków jest artykuł jego pod nazwiskiem **Domy i ludzie**, a znajdujemy ten nierównie doskonalszym. Poemata bowiem, o których mówiemy, i w które wpatrzywszy się, poznaje się oddanie rozciągléj i nieprozaicznéj myśli, robią od razu słabsze wrażenie, niżby sprawiać były powinny; postrzegamy wtedy, że wykonanie nie odpowiada pojęciu; wiersz jest słaby, opisanie szczegółów za długie i często powszedniemi nazbyt rysami przepełnione, myśl niepospolita straciła zarodową swą dzielność w dość pospolitém obrazowaniu Może się bardzo mylimy, ale zdawałoby się nam, że to da się zastósować ogólnie do poezyj P. Kraszewskiego. Wiersz jego jest słaby, pomimo gdzie—niegdzie przesadną olbrzymiość, a co lepsza, pomimo gdzie—niegdzie rys wielkiéj trafności; zwyczajnie tok stylu zbyt powszedni; wprawdzie wszędzie jest, co najgłówniejsza, wszędzie jest wewnętrzna myśl obecna, ale właśnie widać, że ta myśl cierpi na niewłaściwym dla niéj trybie przejawy i osnuła się tu wielu obcemi dla niéj dodatkami wierszopiskiego ubioru, z którychby się w swobodniejszym toku otrząsła i z wyrazistszém, choć mniéj grymaśném, obliczem ukazała.

Korrespondencya.

List autora dzieła: „die Philosophie in ihrem Verhältnisse zum Leben ganzer Völker" pisany do redaktora.

Wezwanie Pana Dobrodzieja, bym w Tygodniku literackim miał udział, jakkolwiek dla mnie zaszczytne, w niedobrą porę do mnie się dostało. Naprzód cały teraz pochłonięty jestem przez wodną kuracyą podług metody Priesnitza, która się na bardzo długi czas zaniosła, a ktokolwiek tę kuracyą zna, wie dobrze, że ona od rana do późnéj nocy wszystek czas zabiera, i z powodu zimna jakoteż koniecznego ruchu wszelkiemu pismu nie mówię jest nieprzyjaźna, ale je prawie niepodobném czyni. Następnie skutkiem najnieprzyjaźniejszych dla moich naukowych usiłowań okoliczności, doznałem na mojéj osobie najboleśniejszéj metamorfozy, któréj Owidiusz opisać zapomniał, t. j z Literata na Gospodarza, i to jeszcze w takiéj okolicy, gdzie jeżeli gospodarstwo w takim stanie zostawisz, w jakimeś je zastał, to nic mieć nie będziesz — a wiadomo że *»ex nihilo nihil fit«* — : jeżeli je zaś dalej posunąć usiłujesz, przywoławszy na pomoc sztukę i naukę, to wówczas sam w nim z duszą i z ciałem zginiesz, bo zmuszony będziesz, sam wszystko robić, sam wszystkim się zajmować, i ‡do tego jeszcze z piasku bicz kręcić, co podobno sam Djabeł Twardowskiego za trudne znalazł.

Takie to jest moje położenie od owéj nieszczęsnéj metamorfozy. Mając jeszcze jakąkolwiek pamięć dawnego zawodu, trapią mnie sny naukowe i otaczają mnie marzenia naukowe: ale skoro je w rzeczywistość przeprowadzić usiłuję, staje inna rzeczywistość i silniejsza na przeszkodzie — antinaukowa rzeczywistość trudów gospodarskich. Jeżeli wolno do porównań się udać, które lepiéj jak wszystkie opisy rzecz malują, powiedziałbym, że jestem drugim Laokoonem. Silne i olbrzymie węże troskek gospodarskich snują się około mnie bez ustanku i w koło mnie opasują. Czuję ich zabójcze objęcia, ale walczę z niemi i jeszcze nie rozpaczam. Czyli jednak naukowość z téj walki żywa wyjdzie, lub czyli nareszcie ducha wyzionąć będzie zmuszoną, tego przewidzieć nie jestem w stanie, ani jak to długo trwać może, wyrachować nie potrafię, gdyż, jak widzę, jestem w przypadku Penelopy. Co jednego dnia przemysł stworzy, to drugiego dnia jakaś zawistna potęga pod postacią to mrozu, to gorąca, to suszy, to mokrości, to ognia, to pomoru, to nieurodzaju, niszczy. Walka ta bez sławy jest najsmutniejszą, a jednak ma ona swoję ważną stronę, z któréj uważana niezmiernéj jest wagi, i to właśnie mnie pociesza. Jak bowiem pomysły czystéj mechaniki, jakkolwiek najszczytniejsze, w rzeczywistości żadnego rezultatu nie dają, jeżeli na przeszkody, w mechanice pod nazwiskiem tarcia znane, względu nie mają: tak też i pomysły innych nauk, mianowicie zaś téj, która mnie najwięcéj obchodzi, jak cienie martwe z pól Elizejskich przez życie przechodzą bez skutku, jeżeli się nie umieją zastósować do tego, co materyalnym bytem człowieka nazywają, i jeżeli się w ciężkich dybach tego materyalnego bytu chodzić nie nauczą. Prawda, że te dyby uwłaczają honorowi wolnego ducha, prawda, że duch w zetknięciu się z materyą, nie może się ustrzedź, ażeby się nie zwalał, lub, że dobitniejszego użyję wyrazu, nie zaszargał Ale życie ludzkie nie jest salonem z wywoskowaną posadzką, ale częścią błotem, przez które trzeba brnąć, częścią nieznośną kurzawą, przez którą trzeba jechać, rzadko łąką się uśmiechającą, najczęściéj ciernistą zaroślą, przez którą się trzeba przepychać nieraz burzą, z którą trzeba walczyć, a zawsze skałą niebotyczną, na którą się trzeba wspinać. Wszędzie pełno przeszkód. Czuję ja dobrze, że zabiegi gospodarskie duszę wyjaławiają, czuję ja, że w tém wszystkiem jest nieskończona czczość. Ale właśnie ogromna massa téj czczości w naszym kraju, gdzie wszyscy mniéj więcéj jesteśmy gospodarzami rolnymi, i tylko gospodarzami rolnymi, czyni tę czczość poważną i pogardzać nią niedozwala. Jest to przeszkoda narodowa do naukowości, na którą wzgląd mieć, i z którą w kombinacyą wejść duchowi należy. Jest to brama, przez którą wszystkie ideje wyższe przechodzić muszą, ażeby się do narodu dostały i jemu były zrozumiałe. Jest to machina do ciągnienia drutu, przez którą wszystkie druty naszych myśli, choćby najdelikatniejsze, zwykle są ciągnione.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Männliche und weibliche Charaktere von S. Gustav Kühne. 2 Bände. Leipzig 1838.

Między młodszymi pisarzami usiłującymi wielkie rezultaty Göthego, Schillera i Hegla, do związków socyalnych zastósować, iżby na życie oddziaływały, zajmuje Kühne w Niemczech znakomite miejsce. Swoje filozoficzno-poetyczne wykształcenie okazał już dawniéj w dwóch nowellach: »Quarantaine im Irrenhause« i »Klosternovellen«; lecz szczególniéj w swych »Żeńskich i męzkich charakterach.» Wybornie oddany pogrzeb Charlotty Stieglitz. Żal po stracie uwielbionéj przyjaciołki wylany jest z całą mocą. Z równem uniesieniem skreślił autor obraz fantastycznéj miłości Zofii Hyatt, biednéj Maryi i Bettyny, pierwszéj ku Lordowi Bayrona, drugiéj ku Jean Paulowi, trzeciéj ku Göthemu. Zofia zerwawszy wszystkie więzy, łączące ją z ludzkością, zaczarowana demonicznemi pieśniami Bayrona, lubo go nigdy nie widziała, z rozdartem sercem, które trawi niczem nieukojona żałość, snuje się w ulubionéj samotności po ruinach ponurych Newsteadu opactwa gajach, dumając w cichem zamyśleniu, lub też lejąc przy świetle księżyca załośne tomy, aż nareszcie teraźniejszy właściciel Bayrona majętności przedsięwziął zająć się jéj losem, gdy nagle śmierć położyła koniec jéj boleści.

Najlepszy jednak jest artykuł: »Shakspeare jako człowiek i Lyryk.« Jakże bystro wyśledził Kühne wszystkie okoliczności, które z dzieł największego z Anglików na wewnętrzne jego życie nowe i niespodziewane rzucają światło. Jakże głęboko wpatrzył się w serce jego, w jak wielkich rysach skreśla całkowity obraz!

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*